



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Nakonieć!

Co?

Po słotnej i zmiennej jesieni doczekaliśmy się zimy.

Azali rzeczywiście ów mróz parodniowy i odrobina lśniącego się śniegu są zapowiednią dłuższej i trwalszej zimy, w chwili właśnie, gdy poważna matrona o szacie śnieżystej powinna zwolna manatki swoje zwinąć i przygotowywać się do odwrotu?

Nie wierzę już zimie. Żyjemy w czasach oszukaństwa, pięknych słówek, mydelkowatych spojrzeń, nieprzyjemnego flirtu, który z saloniów na szersze pole się przeniósł i — albo jest kłamstwem bezmyślnem, albo żebranią uczuć nie chcących iść w ręce rozmiłowanego, albo... interesem, tak dobrym, jak każdy interes, przynoszący zaspokojenie materialnych potrzeb i — nie nadto! — Zepsuł się świat, zepsuli się ludzie, zepsuła się natura.

O, rety! coś gderzę jak zrzęda stary. Azali rzeczywiście ludzie lepsi byli dawniej, natura więcej kochać się dająca?

Milczę, jak świadkowie w sprawie Zola-Esterhazy.

Chcicie jednak koniecznie odpowiedzieć.

Dam wam — powrócę przedtem tylko na palcach: tak... nie...

Śmiejecie się?

Cóż chcecie? Innej pewności nie mam.

Na czasy minione, na ludzi, który przeszli, patrzymy przez pryzmę oddalenia. Barwy się rozkładają, światła i cienie zarysowują się wyraźnie, lecz blask żaden nie oświeca nam oczu,

cięż nie dotyka zbyt mocno, nie odczuwamy bezpośrednio ani krzywd ani łask doznanych. Z oddalenia patrzymy spokojniej, sądzymy trzeźwiej, namiętności niewielką rolę tu grają. Im oddalenie jest większe, tem łagodniejszy sąd nasz wypada, wyrok łaskawszy. Czyny ludzkie potężnieją, otaczają się nieraz aureolą wielkości lub świętości, czego w żyjących nie widzimy.

Nasi wielcy są nazbyt nam znani, widzimy ich w szlafroku, łapiemy słówka nieliczące z ich powagą, uraziło nas nieraz ich spojrzenie, urosło nieco zawysoko. To wszystko burzy nam zółte w wątrobie; porównujemy wielkość którą widzimy z wielkością na którą praojcowie nosi patrzyli; mniejsza, co wówczas o nich mówiono, — my szlafroka nie widzimy, ni spojrzeń lekceważących skierowanych ku nam. Porównanie wypada pochlebnie, przeszłość zwycięża, my zaś z wetchnieniem powtarzamy słowo znanej piosenki:

„Nie tak in illo tempore bywało!”

A tymczasem...

Zbliżam palce do siebie: tak, nie, tak, nie.

Ha — trudno!... Choćby złota sielanka wieku Apollina wszystkimi czarami bajek greckich nęciła nas ku sobie — tehem jej nie odetchniemy, nie odurzym się jej wonią. Musimy własną wynaleść sobie sielankę, zgodzić się na taką, jaką jest, a życie — no i siebie samych, kierujących trochę tem tajemem, zbliżyć do ideału, do którego tęsknotą tajemną drżą serca nasze.

Jakimikolwiek więc byliście ludzie przeszłości, w szaty niezwykłego piękna myśmy was przyodziewać, stworzyć sobie wzór do naśladowania, ołtarzyk do modlitwy. Piękność i wielkość jest potrzebą ducha ludzkiego, który, nie widząc tych ideałów w koło siebie, odsuwa je w przeszłość, szuka, znajduje, tęskni, kocha, gromi małość współczesnych, do pracy i czynu rozbudza i idzie naprzód, wciąż naprzód do niedoścignionej nigdy — doskonałości.

Zbliżyłem palce...

Tak!...

Potężny dech wieje z przeszłości, twór może naszej fantazji, ale ożywczy, jak wiatr podczas skwaru letniego.

Gorsi więc są ludzie i zima nie lepsza. Nie wielka zresztą byłaby z niej pociecha, gdyby, chcąc winę swoją naprawić, zjawiała się podczas postu i — „jazda!” powiedziała.

— Jazda? a dokąd!

Kuligiem chcieliśmy objechać dwory wszystkie, powrócić dawny obyczaj najazdów sąsiedzkich, w koło większe połączyć bracie, oddaloną nieraz od siebie miłami całami — a tu post, pokuta, rozpatrywanie win, grzechów rozpamiętywanie. — Ej, biała zimo, biała zimo! gdyś nie przyszła w porę, nie przychodź już nie w porę.

Kuligi się nie udały, sport lyżwiarski ucierpiał nie mało, maskarady wiodły swój żywot suchotniczy, cały zresztą wygląd miasta nie był karnawałowy, kilka balów publicznych, które na różne dobroczynne obły się cele — bez szczególnego wrażenia przeszły; dzienniki zanotowały niektóre stroje tancerek, zapowiedzi kilku nowych balów, wypadkowo do ucha wieść wpadła o jakiejś prywatnej zabawie — i oto wszystko! — Ale tętna, ale pulsu karnawałowego wcale nie czuć. Były lata, że Warszawa cała tańczyła i grała.

Przechodziłeś nocą ulicę — z parteru czy pięter wyższych, jeżeli nie dobrana muzyka to jęczały klawisze fortepianu a smętny walc lub tempo skocznego mazura do uszu ci raz w raz wpadał. Nie dostrzegłeś prawie kamienicy, w którejby choć okien kilka nie jarzyło się od lamp, świec, a choćby od kaganków w suterenach. Piętra milczały, to sutereny grzmiały zawrotnym oberkiem a harmonija coraz dźwięczniejszych tonów dobywała by ochocie dogodzić. W domach płas i gędba, na ulicach gwar i wesóły brzęk dzwonek i śmiech rozweselonej kampanji.

Dzisiaj inaczej jakoś.

Dlaczego?

Oto pytanie!

Czy umysły spoważniały a spoważniały przed chwilą, która pochłonięła myśl ogółu i zastanowiła się nad zawsze tajemniczym jutrem? Czy może temu powstrzymaniu się od zwykłego, karnawałowego szalu był przyczyną — brak środków? Czy może — zniechęcenie?

Nie wiem!

Lecz o ile z pierwszym bym się zgodził, o ile drugieby zasmuciło, o tyle trzecie boleśnieby dotknęło. Zniechęcać się niewolno nigdy i pod żadnym warunkiem, zniechęcenie to krok ku...

Wierzę w pierwsze.

Warszawa się jednak bawi, nie tak jak dawniej może, nie z takim zapałem i zapomnieniem się zupełnym, — ale bawi! Bądź co bądź inne sprawy odsunięte na bok zostały i kronikarz w rzeczywistym jest kłopotcie, gdy przychodzi mu zapisywać wypadki dnia codziennego.

Ratuj się kuryerami — powiada mi mój przyjaciel z pewnej redakcji, który więcej pracuje nożyczkami niż piórem. Szach — mach i jest!

Ba! kiedy tu „szach — mach“ nawet zrobić nie można. Pisma codzienne, mające nieraz moc wielką papieru do zbicia, zadrukowują go takimi wiadomościami, które same w sobie żadnego interesu nie mają. Czytamy zagłówek, z boku tekstu wprawdzie tłustymi czcionkami wydrukowany: „Trzeci most na Wiśle“.

Al! może coś się dowiemy o tej ważnej kwestyi komunikacji miejskiej. Czytamy więc dalej, dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że projekt trzeciego mostu na Wiśle zostaje jeszcze w projekcie!

Wybacz, szanowny kolego i przyjacielu lecz dla podania takiej wiadomości nożyczek tępić nie myślę. Mam zresztą nadzieję, że jeszcze i bulwary wrócą w braku innej sensacyjnej wiadomości. Rzeczy brak zawsze ale na projekta uskarżać się nie możemy, projekta, bardzo dobre nawet, bardzo pojętne. Oto: „Inżynier Kamiński sporządził już plany urządzenia akwaryum w Warszawie, które, jeśli okoliczności pomyślnie się złożą — ma się mieścić w dalszej części budynku wzniesionego dla panoramy „Golgota“.

„Akwaryum warszawskie ma składać się z pięciu działów naukowych: ichtiologicznego, konchologicznego, mineralogicznego, botaniki wodnej i geologii krajowej — zajmując dwie kondygnacje gmachu t. j. parter i podziemia, a nadto nowodobudowaną część na pomieszczenie okazów, potrzebujących światła dziennego.

„Oprócz powyższej wymienionych działów, do utrzymania których (powinno być do których otrzymania, (mój przypisek) użytkowanych będzie pięć gatunków wód, t. j. cztery morskiej i jeden słodkiej, ma być także urządzony osobny, dużych rozmiarów zbiornik, mieszczący wyłącznie gatunek ryb krajowych“.

Projekt bardzo pojętny, ale czy z dziedziny marzeń wyjdzie na światło dzienne? Szkło, szpagat, gwoździe, kawałek szyjki od butelki zielonej z piwa znajdziemy w bułce chleba, na którego skórce ujrzymy kartkę z napisem: Piekarnia parowa — ale akwaryum? ale dom własny Towarzystwo Zachęty sztuki pięknych? ale bulwary nad Wisłą? — krytyka uczciwa?...

W głowie mi się nie może pomieścić, ażebyśmy tych kilka cudów warszawskich oglądać mogli kiedy. Bywają jednak — czekajmy!

Z rozmaitych kongresów zajmujących się sprawami różnemi, kongres odbyty świeżo w Aix, w Prowancyi, był bardzo ciekawy, choć zajmował się nie uciśnionych ludzi dolą, lecz ptactwa losem. Nie rozczulajmy się jednak zbyt wcześnie nad poczciwością serc uczonych panów ornitologów, którzy upraszają wszystkie dzienniki świata o powtórzenie uchwał na tem zgromadzeniu zapadłych.

Tępienie ptaków i tępienie massowe, którego głównym powodem są stroje niewieście, jest bezwzględnie zabawą karygodną. Dziwiliśmy się zawsze, jak ręka kobieca, bez drżenia przypinać mogła do gorsu albo do głowy, małego kolibra o skrzydłach tęczyowych, lub inną jaką ptaszynek.

Oczywiście, że ptak był wypchany, choć dawniej, lat kilka temu, była moda w Ameryce w żywe ubierać się kolibry, jak obecnie jest moda, balowy strój w żywe usiewać motyle. Żadna ze strojnisz nie pomyślała, jaki to straszliwy mord się wypełniał gwoili dogodzenia fantazyi i dziwactwu mody.

Zjazd ornitologów w Aix, postanowił na seryo zaopiekować się ptaszkami, oczywiście, że nie ze względu na ptaki same — lecz... ogólnie ludzki pożytek. Altruizm w podobnych razach jest zawsze egoizmem podbity: zbadano, że — o ile ptaki giną o tyle owady zjadają pracę ludzką, zwłaszcza pracę rolnika i ogrodnika. Miljardy tych stworzeń wypełnia powietrze, powierzchnię i wnętrza ziemi, a wszystko to są dobrze zorganizowane armie, wyruszające w pochód ku zniszczeniu dzieł ludzkich. Wszelki wysiłek ludzki nieby nie poradził tym zastępom nieprzeliczonym, gdyby nie ów drobiazg upierzonego, który bój śmiertelny wypowiedział wszystkim owadom i robakom ziemnym. Tępi więc je, nie przez zamięłowanie tępienia, lecz z musu, albowiem robactwo i owady są pożywieniem świata skrzydlatego. Z jednej więc strony, rozplądanie się olbrzymie, z drugiej olbrzymie niszczenie na porządku są dziennym i dopóki trwa równowaga między siłą rodzącą a niszczącą, rolnik może spać spokojnie, nie troszcząc się zbyt wiele o przyszłość piodów swojej pracy. Dopiero zachwianie równowagi klęskę sprowadza, a jedną z główniejszych przyczyną tych klęsk jest wygubianie, częścią bezmyślne, częścią okrutne — ptactwa.

Któżby pomyślał nawet, że ptactwo domowe, jak: kury, kaczki, indyki — ogromny pożytek gospodarzowi wiejskiemu przynoszą, oczyszczając ziemię z glizd, ślimaków i przeróżnego robactwa? W książce Micheleta p. t. „Oiseau“, którą jeden z mówców kongresowych zalecił do odczytania wszystkim tym, którzy tylko czytać umieją — bardzo ciekawe znajdują się szczegóły o tej użytecznej pracy ptaków. „Zwłaszcza ptaki, mające pisklęta w gniazdach, — mówi wyż wspomniany autor — sprawiają wśród gaszenie i owadów spustoszenia straszliwe. Pół tuzina dziobków otwartych żalosnym piskiem dopomina się pożywienia, więc matka od rana do wieczora, z furją niejako, tępi owady. Mam u siebie parę kosów. Zabawne te ptaki warte są obserwowania zwłaszcza po deszczu: z powagą podnoszą liść za liściem, oglądają go skrupulatnie i ani jednego jajka życiem nie darują.“

Jeden z kongresowiczów stwierdził powolnie lecz stałe zmniejszanie się ptaków w Europie i z tej przyczyny wyraził obawę swoją o przyszłość. Najokrutniejszymi oprawcami ptaków — są dzieci, najprzebieglejszymi ich tępiciełami — koty. Przyjaciele kotów, zlej bronią sprawy, faworytów swych broniąc, gdy mówią, że kot dobrze karmiony, nie ruszy ptaszka. Znamy tych pieszczochołów starych panien i babek naszych; o instynktach morderczych swoich Mruczków i Macusiów przekonać się nie dadzą, i słuszość mają, że kot dobrze odżywiony ptaszka nie zje, bo głód swój zaspokoili mięsem surowym lub mlekiem w kuchni mu podanem, lecz nie powstrzyma się od barbarzyńskiej zabawki, zasiałdzie zdradziecko, chwyci niespodziewającą się zdrady ptaszynek, poszarpie skrzydła, by ulecieć nie mogła, na pół żyjącą jak piłką podrzucać będzie, wreszcie umęczoną, storturowaną zadławi niegodziwiec. Wiadomem jest, że w okrucieństwie kotom dorównują tylko dzieci wiejskie. Sowy szczególnie są ofiarami tych barbarzyńców małych: wykręcają im skrzydła, wiążą nogi, tworzą zaprzęgi, wykluwają oczy, szczególnie piękne, duże, czarne oczy puszczyków.

Okrutne obchodzenie się z tem ptactwem jest tak zwyczajnem wśród dzieci wiejskich, że nawet starsi z włościan, nawet samych oprawców rodzice, żadnej nie zwracają na to uwagi i żadnych przestróg nie czynią. Przyzwyczajenie się za młodu do okrucieństwa, w późniejszych latach haniebnymi czynami objawić się może. Dziedziczki i młode panny ze dworu, ksiądz proboszcz i nauczyciel wiejski czuwać powinni nad tym wrodzonym u dzieci wiejskich popędem do

okrucieństw. To też jedna z uchwał kongresu brzmi, jak następuje:

„Kongres zwraca się do wszystkich nauczycieli wiejskich z wezwaniem, aby dzieci wiejskie oświecali i wykazywali im bezużyteczność tępienia ptactwa dla nich, a szkodliwość tego tępienia dla rolnictwa. Księża z ambon również oddawaliby ludzkości rolniczej usługę, gdyby raz na rok, na początku wiosny, przypominali rodzicom, że dzieciom zakazywać należy tępienia ptaszków.“

Uchwała kongresu wskazuje wyraźnie, że dzieci są wszędzie jednakie, że mało kto wpływa na moralne ich wychowanie, że o poprawie złego w tym kierunku nie wiele myślą, gdy potrzeba uchwał odrębnych i ogłoszenia ich urbi et orbi.

Więziennictwo ptactwa w klatkach oburza nas zawsze. Lecz jeśli radzi nie radzi zgodzić się musimy ze smutną dolą kanarków, papug i t. p. ptaszków, które stały się przedmiotem uprawnionym handlu — zamykanie słowików do klatek — jest już nieczem nieusprawiedliwionem barbarzyństwem, godnem ostrego napomnienia. Gdy słyszę śpiew słowika, wybiegający z klatki uwieszonej w oknie miejskiego mieszkania, doświadczam dziwnego uczucia bólu; gdy wtedy przy klatce stanie postać młodej dziewczyny — uczuam wprost wstręt do tej ładnej istoty, która — zamiast otworzyć małe drzwi klatki i na swobodę wypuścić ptaszkę śpiewacze — przynosi mu cukru kruszynę lub kawałek bułki w wodzie zwilżonej.

Ale, ale — panie kronikarzu — zapomniałeś o konkursach.

Ach — konkursy!

Mogę zgorszenie wywołać wypowiedzeniem otwarcie zdania, że — w żadne konkursy nie wierzę, dramatyczne szczególnie. Przekonał się już już niejednokrotnie, że dzieła nagrodzone najczęściej były mniejszej wartości od — pochwalonych łaskawie.

Przed kilku tygodniami rozegrał się konkurs dramatyczny lwowski. Pierwszą nagrodę otrzymał p. Ignacy Grabowiecki za dramat, który, wystawiony na scenie od razu *klapsit*. Konkurs „Kuryera Warszawskiego“ nie przedko jeszcze rozstrzygnie się, Towarzystwa zaś muzycznego na kantatę Mickiewiczowską nagrodił utwór p. Józefa Łubieńskiego z Sosnowic, osoby nieznaanej i kantatę p. Nikodema Iwanowskiego z Tyśzka (gub. kowieńska). Laureatem konkursu „Życia“ krakowskiego na sonet, pozostał Kazimierz Tetmajer, a uwiecznionym...

Przepraszam — niema już uwiecznionych... ale będą!

Nie uwiecznę jednak za nic w świecie nowego wydania „Wieczorów w Ojcowie“, Siemieńskiego.

Czytelnicy, dowiedziawszy się o wyjściu nowego, a od tak dawna niewidzianej edycji „Wieczorów“ może ze skwapliwością rzucą się do zapisania t. j. książki, ale sumienie mi nakazuje, powstrzymać skwapliwą rękę i powiedzieć ojcom i matkom: „lepiej żadnej książki dzieciom swym nie dawajcie, niż „Wieczory“ podobne, które więcej szkody, niż pożytku przyniosą, spaczają pojęcie, zepsują serca dzieci, oddalając je od serc naszych.“ Księgarnia nakładowa T. Paprockiego i Sp. tem wyda wniwetwem nie przysłużyła się nam wcale. Ruchliwa ta firma wiele zasług już na polu wydawniczym położyła, to też z prawdziwą przykrością wspominamy o tej ostatniej książce wydanej przez nią, lecz — *amicus Plato sed magis amica veritas*.

??

Z niełomaczonych poezyi Jerzego Byrona.

TAK! TYŚ SZCZĘŚLIWA...

Tak! Tyś szczęśliwa, a więc roje,
Że i mnie los Twój uszczęśliwi;
Twe bowiem szczęście serce moje
Odczuwa zawsze jak najtkliwiej.

Szczęśliwy mąż Twój!—piekłem dla mnie
Ta myśl o jego szczęścia niebie:
Dość! nienawidziłbym niekłamnie,
Gdyby nie to, że kocha Ciebie.

Na widok lubej twej dzieciny
Znowu-m zazdrości zawrzał szalem,
Lecz widząc uśmiech jej bez winy,
Dla matki dziecię całowałem.

Tak! całowałem... choć w niem lice
Ojca—krwawiły dawną ranę,
Lecz miało matki swej żrenice...
Tak niegdyś moje... tak kochane.

Maryo! bądź zdrowa! czas mi w drogę...
Nie będę szemrał, gdyś szczęśliwa,
Lecz dłużej zostać tu nie mogę,
Gdyż znowu czar twój mnie opływa.

Duma—mniemałem—czas... w uroku
Dawnej miłości będą tamą,
Pókim nie uczuł przy Twym boku,
Że serce zawsze mam to samo.

Jam nie drżał, choć pod ócz twych siłą
Żar niegdyś czułem w każdym tętnie...
Dziś by to jednak zbrodnią było...
Spotkaliśmy się obojętnie...

Czułem na licach twoje oczy,
Lecz nie widziałas, że mi błędną —
Rozpacz z nich tylko, co je mroczy
Mogłaś wyczytać... rozpacz jedną.

Precz! precz! młodzieńcze sny, marzenia...
Wy nie możecie być budzone!
O gdzieżes falo zapomnienia!...
Milcz, serce, lub się skrusz szalone!

Wiersz ten był pierwotnie wydrukowany w „Rozmaitościach” (Miscellany) Hobhouse’a. Na parę dni przed jego napisaniem poeta został zaproszony na obiad do Annetley. Kiedy małą córeczkę pięknej gospodyni (niegdyś Maryi Chaworth, a naówczas już zamężnej pani Masters) przyniesiono do pokoju struchlał mimowolnie i z największą trudnością stłumił wzruszenie swoje. Wrażeniom owej chwili zawdzięczamy te piękne zwrotki. W dniu kiedy wiersz ten został skreślony (2 Listopada 1808), Byron pisał do matki swej oznajmiając jej zamiar popłynięcia do Indyi w Marcu (1809).

Władysław Nawrocki.

W zatoce śmierci.

(Wspomnienie z tułactwa).

(Dokończenie).

IV.

Pewnej nocy czegoś Ginna spać nie mogła, wierała się nieustannie na posłaniu, powstawała co chwila, i wyglądała przez okno, jakby ją widmo jakie niepokoiło, wzdychała—jęczała prawie i czuła gorączkę wkradającą się zwolna do ciała, a przytem tęsknota uporeczywa mocniej, niż zwykle, ją żarła tej nocy, napływała gorzką falą do gardła i dławila, aż żyły palące wyciekały z oczu i spływały po rzęsach...

Noc była ciemna—z wieczoru już zapowiadała się taką—wicher wstrząsał, od czasu do czasu, jej mrokiem, a rzadkie błyskawice, daleko jesz-

cze daleko rozdzierające horyzont—rozwidniały ją chwilami...

Przez okno wdierało się powietrze ciężkie—duszające...

Ginna wyjrzała przez okno, zatopila wzrok w noc czarną—wyczekując błyskawic i przysłuchiwała się głuchym hukom idącym od morza, a zapowiadającym burzę.

Co raz subtelniejsze dreszcze zaczęły przejmować Ginne. Niepokojąca chęć ruchu ogarniała ją powoli... Obejrzała się Ginna trwożnie parę razy, w obawie by jej kto nie podpatrzył, włożyła pośpiesznie trzewiki, narzuciła lekką chustkę na plecy i, zwinnie przesadziwszy okno, znalazła się na wzgórku, z którego kamienista, dobrze jej znana, ścieżyna wiodła do latarni morskiej!

Ginna stała chwilę za oknem, nie zdając sobie sprawy, jak się tu znalazła, jakby w niepełności, co ma dalej robić... lecz nagle popędziła, bez namysłu, kierując się w stronę „Fary.”

W drodze przelatującej w jej rozgorączkowanym umyśle rozmaite pytania...

„Może—zobaczę i Lionarda?”—mówiła... pewnie mały nie wytrzyma i wymknie się na morze... taka noc ciemna... nikt go nie dojrzy...—a i mnie, nikt nie dojrzy...

A cóż ja mam robić?... przyszło jej znowu na myśl...

Przystanąła na chwilę, doczekała się błyskawicy... przekonała się, że idzie wciąż ścieżką... znowu więc popędziła wzdłuż brzegu zbliżając się do latarni.

Im bliżej jej było, tem większy lęk ją obejmował, a gorączka się wzmagala...

Rozkołysane morze huczało coraz potężniej, pioruny waliły coraz częściej, głuche łoskoty rozchodzily się po wybrzeżu—wiatr popędzał niemi i roznosił daleko...

Burza szła z kądciś daleka i wkrótce miała wsiąść na grzbiet morza, by wściekłością nieokiełznaną je przejąć.

Błyskawice podniecały Ginne—strwożoną i rozgorączkowaną—śpieszyła jednak do „Fary”—jakby pociągana wzmagającym się dokoła szumem.

Po chwili zdyszana stanęła u stóp latarni.

Ogłuszył ją odrazu szum fali bijącej, raz po raz, o jej granitowe podstawy—kurz wodny obsypał ją całą, orzeźwił i zmoczył prawie... Co-fnęła się Ginna instynktownie i schroniła się za przeciwną jej ścianę.

— Co robić? — pytała samej siebie — może wrócić?... a może rozbudzić starego Pietra i przeczekać u niego do świtu...

Nie chciała ani jednego, ani drugiego... Może tak tu postoi trochę—przedstawiała samej sobie—wzrok napasie widokiem czegoś wielkiego, groźnego—nie codziennego... może uśmierzy ból i rozterkę duszy... i znowu powróci na opuszczone legowisko, by gnić na niem, jak próchno!... powoli niewidzialnie, codziennie...

Tak myślała.

Nagle silna błyskawica rozdarła mrok otaczający i oświeciła zakątek brzegu, gdzie stała barka Pie’ra uwiązana do pala.

Ginna mimowoli zwróciła wzrok w tę stronę i dostrzegła jakby nie wielką po-tać ludzką stojącą u pala.

Pewnie mały „birbante”—Lionardo—rzekła do siebie, nie była jednak pewna.

Znowu błyskawica... Znowu ta sama postać, tylko wyraźniej zarysowana...

— Lionardo, to ty mały?—powiedziała prędko...

Odpowiedź żadna nie nastąpiła.

— Ozwij się Lionardo—mój drogi Lionardo, to ja... Ginna,—przyszłam zobaczyć, jak burza bije o brzeg...

Tymczasem ozwał się niecierpliwy głos, od strony łodzi:

„Si, si... signorina—to ja... ale cicho, *Per Dio*... bo Gran-Padre... może się przebudzić... cicho... cicho!

— Co tu robisz Lionardo?—co chcesz robić?—pytała dalej Ginna nie uważając na przestrogi. Lionardo nie nie odpowiadał... Ginna zbliżyła się do niego i znowu zapytała:

— Co chcesz robić Lionardo?...—Chłopak spojrział na nią ze zdziwieniem, uśmiechnął się, jakos poważnie, i wskazując na zdjęty z pala łańcuch, głosem uroczystym, drżącym od wzruszenia i natężonej radości, wyrzekł tylko: Na morze...

Nie wyrzekł, lecz jakby krzyknął i urwał... nie nie mogąc mówić...

W barkę tymczasem coraz mocniej waliły bałwany, podmywały ją i podrzucały. Lionardo nie zwracał uwagi na to, a na Ginne nie patrzył wcale, jakby o jej obecności zapomniał... Rzucił łańcuch do łodzi, a sam wskoczył w nią lekko, jak konik polny i chwycił za wiosła.

Ginna zdumiona i oniemiała, nie wiedziała już co mówić i kogo zzywać... nie wiedziała jak się w obec tego, co widzi zachować...

W uszach dzwoniły jej, jakieś zmieszane zgiełki, w głowie wszczął się huk i zamęt, nogi drżały pod nią, serce tłukło się w tempie szalonym, a usta wyrzucały słowa jakieś, bez związku—porwane, powikłane... Przelatujący huragan zagłuszył i to... przez chwilę ani z łodzi, ani z brzegu, nie się nie odzywał...

Pioruny tylko waliły wciąż, co raz częściej i coraz śpieszniej, jak race ciskane nieustannie, jakąś opętaną machiną niewidzialną, fale, jak płomieniste języki, co raz wyżej sięgały murów latarni, dokoła rozchodził się jęk zmieszany jakby z dudnieniem wybrzeża...

Czuła Ginna jak z uczuciem trwogi i zdumienia, zaczyna się wciskać do niej bezwiedny pociąg do tego wrzącego dokoła żywiołu, że paroksyzm jakiś wstrząsa nią i pcha w to piekło wodne, kipiące już i rozjuszzone...

Gorączka w niej wzrastała... świadomość stawała się mętną i splątana... podniecony organizm słabł i dygotał pragnieniem nie powstrzymanem... Wielki jęk wydała jej pierś wzburzona... prąd gorączki wstrząsnął nią silnie i zapalił jakąś ekstazą, zaczęła nagle głosem zmieszonym z łkaniem—na wpół dziko—na wpół błagalnie mówić:

— Lionardo, *cara* Lionardo... weź mnie z sobą... patrz,—patrz—ja taka biedna... taka nieszczęśliwa...

Skarga ta wypłynęła sama przez się, bez jej woli... jakby wyznanie zrobione komuś, co miał ją na zawsze pocieszyć...

Jakaś rozpacz namiętna i pragnienie czegoś nieznanego, czegoś co by z niej zdjęło udrczenie życia, ogarnęły Ginne... W rozpalonym jej umyśle, stanęło, jak upiór, całe jej życie nędzne, oszpecone, spętane, bez iskry radości—jej więdnienie i dogasanie powolne...

Żadnych zamiarów samobójczych nie żywiła nigdy... i teraz myśl, o śmierci nie świtała nawet w jej wyobraźni umęczonej... Ale tak tylko, pragnęła jakiejs ulgi, wydawało się jej, że brzemień całe życia swego ciśnie w tę wzburzoną bezden wodną, że w niej pograży na wieki tę straszną tęsknotę swoją... Och, tylko wstrząsnąć siebie, przeniknąć się jakimś dreszczem olbrzymim... spleść się z burzą... Wszak tam nie złego jej się nie stanie... Ona nie zginie... po cóż ma ginąć... Kiedy ona chce tak tego bardzo... Lionardo także nie zginie... Lionardo tak się cieszy, taki rad...

W umyśle jej zaczynały przelatować błyskawice—burzyło się w nim i kłębiło, jak na morzu rozkołysanem.

— Lionardo, Lionardo miły—jęknęła znowu strasznie—weź, weź... ja...

I nie domówiwszy zdania, wstrząśnięta paroksyzmem szalonego pragnienia, wskoczyła do łodzi i przykucała...

Łódkę podrzucała fala, coraz częstsza... coraz bardziej zdradziecka i niespodziewana. Lionardo nie miał czasu zdać sobie sprawy z tego, co się w jego oczach działo... Widział, że Ginna wskoczyła do łodzi... ale ani myślał temu przeciwdziałać i nie widział w tem czegoś niezwykłego. Miotał nim już zresztą szal wywołany zetknięciem się z morzem rozhukanem opanowała taka namiętność gry z tym jego ukochanym żywiołem, że już na nie nie zważał...

Dwa silne szarpnięcia fali bijącej w bok łodzi podmuch gwałtowny wiatru—i łódź, rzucana na,

wszystkie strony, znalazła się w oka mgnienia daleko od brzegu.

Lionardo uderzył parę razy wiosłami, złożył je jednak po chwili, jakby w obawie, że słaby nawet opór może zmniejszyć siłę żywiołu i zniszczyć jego wspaniałość...

Pioruny bijące coraz częściej, oświecały czuby rozkołysanej powierzchni wodnej, złowrogo połyskującej od czasu do czasu, wśród gęstego mroku.

Huragan zwałił się już na morze i całą potężną swą pierś uciskał je z rozmaitych stron... drażnił, burzył, wzdymał, podnosił nagle i spiętrzał wały bałwanów—to żłobił je i jakby otchłan pod nimi otwierał, sięgając, aż do dna...

Zakotłowało dokoła, zawrzało jakimś dzikim zamętem, rozpasanym, bez kierunku i planu walącym na wszystkie strony... we wszystko.

Łódź to wyjeżdżała w górę na grzbiecie wału wodnego, ta zapadała jakby w dolinę,—to odskakiwała nagle, silnie w bok pochnięta, to zatrzymywała się i kręciła się w miejscu...

Ginna oszołomiona pierwszymi uderzeniami fali, odurzona tym całym rozpetanym chaosem, nie poruszała się wcale, wstrząsana, od czasu do czasu, dreszczem rozkosznym i to omdlewała w jakimś błogim osłabieniu, to przychodziła do siebie, palona podnieceniem i gorączką. W uszach jej zwiększał się szum—przed wzrokiem latały czarne kręgi... w świadomości jej wszystko się zaczęło mieszać i kłębić... Czasami łkanie podrzucało jej pierś...

Lionarda szal rósł wciąż... jak burza na morzu. Chłopak wyciągnął się na dnie łodzi, chwycił się rękoma jej brzegów i wzrokiem roziskrzonym, ruchliwym jak u obłąkanych, obrzucał całą przestrzeń przewalającą się z rykiem.

Zgrzytał zębami, pienił się, wydawał jakieś westchnienia zmieszane z dzikim rżeniem, uderzał nogami w dno łodzi, skręcał się i drgał, jakby w przystępie opętania... a po każdym silniejszym szarpnięciu łodzią, po każdym rozdarciu mroków lśniącem ostrzem błyskawicy, gdy łódź leciała z falą na dół a czuby bałwanów przelatwały przez nią, jak mewy olbrzymie,—z piersi upojonej wyrwał się okrzyk:

— Jeszcze! jeszcze!...

...Nie długo bujała barka, w wirze kotłującym.

Potężny bałwan wyniosłszy ją wysoko postawił prawie na sztorc i... cisnął zapamiętałe w otwartą bezdenną...

Z zachłystniętych, spienionych ust Lionarda, wyrwał się ostatni, stłumiony, okrzyk:

— Jeszcze! jeszcze!

Ginnę, już przed nim, zmyła fala z dna łodzi i głębiom morskim rzuciła...

Jęknęła nie raz jeszcze ton morska, wzburzona do głębi, ryczały fale, roztrząskiwały lby swoje, obsypując bryzgami przestrzeń... szły łaskoty, grzmoty, wycia... dreszcze i spazmy po powierzchni wodnej... W końcu, nad ranem, jakby znużone i ogłupione po szale nocnym, poczęło morze się uśmierzać i białą pianą odkładało powoli na brzegu.

Wkrótce stanęło... i zatarło ślady swoich wybuchów...

W zatoce śmiertelnie jeszcze się zrobiło—bardziej martwo i zdętwiała wyglądała teraz ona. Burza wyrwała szczątki jej życia...

Odtąd nikt nie zlorzeczył obumarciu zatoki. Nie palił namiętą żądzą życia, nie ścigał go... nikt nie przewracał się w konwulsjach duszy... nie drżał radośnie czując jej rozrost...

„Bella Scutarina“ po dawnemu kołysała się ospale, dzwoneczki, od czasu do czasu, przeprowadzały karawanę i milkiły nagle w wąwozach, jakby im serca poodpadały... ludzie wciąż jednym trudom byli oddani...

Czasami mewa tylko, wędrowna tułaczka-samotnica, wpadała w obręb zatoczny, dotykała swem piórkem śpiącej wody, pokrzyżowała chwil parę i nagle, jakby gnana przeraźliwym widmem

własnego przeznaczenia, rwała rzutem szalonym naprzód w górę, a potem mknęła poziomo wzdłuż brzegu, na skraj morza, uciekając od drętwej zatoki.

Wł. Jabłonowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Zofia Bukowiecka. DZIECI WARSZAWY. Opowiadanie dla młodzieży. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1898, str. 359.

Dobry z gruntu człowiek, dobra wszechstronnie książka, mają między sobą dużo podobieństwa, a mianowicie i to, że są nader pożądaną—rzadkością. P. Zofia Bukowiecka napisała książkę właśnie wszechstronnie dobrą, taką jakiej brakło dzieciom Warszawy, książkę o Warszawie, o rodzinnem mieście, w którym się mieszka, kształci, rozwija, słowem, w którym młode pokolenie żyje i wiedzieć powinno po jakich wspomnieniach stąpa i wśród jakiej współczesnej sobie młodej społeczności wzrasta ku wspólnym i dążeniom celom. Znajdujemy więc tutaj dwa światy, przeszłość, która wypisała na murach domów, na wieżach kościołów, na starych gzemach i pomnikach swe wielopomne świetne dzieje, i płynący po tych zabytkach tłum dzisiejszy, gwarny, szybki, pracujący, dobry i zły, podniosły i zepsuty, liściowy i okrutny, rozumny i niebezpieczny, drgający temi wszystkimi strunami które drgają w pulsach nowożytnych społeczeństw a objawiają się już w drobnych duszach dzieci. Bohaterami powieści jest gromadka małych przechodzących różne losy na jakie rzucone bywają dzieci wyrobnika, stróża, rzemieślnika, sierota lub gorzej niż sierota, bo dziecko mające złych rodziców których tak często przykład psuje dobrą istotę od niemowlęstwa i pcha w zło od razu.

Jest więc Filipiek, chłopak zdalny lecz zepsuty ulicą, bez hamulca rwący się w życie włóczęgowskie i próżniacze, próbujący nawet już kradzieży i przez swą zuchwałość lekkomyślną sprowadzający na podobnych do siebie kolegów niebezpieczeństwa, i nawet śmierć w falach Wisły jednego z kolegów, andrusa Walka.

Ta śmierć, rozpacz matki chłopaka, widok topielca, wyrzuty sumienia, wyrwają Filipka z bezmyślnego rzucania się na oślep wszędzie dla rozrywki i użycia, resztę dokonuje p. Stefan, człowiek rozumny i serdeczny który bierze urwisa pod swoją opiekę i duszę jego oddaje pod wpływ potężny przyrody wiejskiej która obmywa czystym źródłem swych wrażeń umysł i serce chłopca z gruntu podatne do ulepszenia, tembardziej że ten andrus warszawski ma spory zadatek entuzjazmu i umie kochać i poświęcać się, gdy wypadki życiowe odkryły w nim dobrą żyłę uczucia a starły rdzę szkodliwych wpływów.

Braciszek jego, to typ smutny a sympatyczny, cichego, pracowitego dziecka, „pokornego pyłku“ w wszechświecie, który dzieciakiem moli się już nad siły a gotów się zawsze uśmiechnąć skoro tylko słońce laskawiej mu w oczy zajrzy. Taki sam dobry, trochę bezradny i zahukany jest Marcinek, służący u Niemca w budzie ze sztukami a umierający z rozpaczy nad upadkiem złego brata, Michałka, który jest w nieporozumieniu z policją i należy do tych młodych zatraceniów bez steru i opieki a wiecznie głodnych i niespokojnych, którzy w końcu za kieszonkowe operacje dostają się do więzień, skąd wychodzą, po paromiesięcznym obcowaniu z wprawniejszymi od siebie fachowcami, uzdolnieni do sprawek na szerszą skalę. Mamę dalej Jędrusia który kocha Wisłę, płata figle z innymi ale i kocha książkę i kiedy w końcu do niej się dobrać, czyni ogromne postępy w nauce i sprawowaniu pod okiem starego, biednego archiwisty który swemi wspomnieniami o mieście

rodzinnem poucza całą gromadkę ludzi, bo i Pan Stefan i jego żona Marya, i kilku chłopaków wciągniętych na lepsze losy, i młoda nauczycielka Julia i młody doktor Władysław gromadzą się koło staruszka zagrożonego kutaraką i z jego ust dowiadują się o Warszawie, aż tam, od jej niemal przedhistorycznej głębi, od pokładów kamienia skandynawskiego, na których powstała pierwsze osada Warsza i Sawy, o jej losach i dziejach przeróżnych, tak pięknych, zajmujących i drogich że istotnie z prawdziwą przyjemnością wita się tę przeszłość całą w książce dla młodzieży która specjalnych dzieł nie czyta i czasu na nie nie ma. Rozmaite smutki, walki, nędze bliźnich naszych, spotykamy w tej książeczce o których młodość wiedzieć powinna i nauczyć się współczuć z niemi, zbliżyć się do nich z sercem i przekonać się że nie wszystkim tak dobrze, ciepło, widno, syto i wesoło na tym świecie jak tym szczęśliwym dzieciom które na gwiazdkę ładne i ładnie opatrzone dostają książki.

Właśnie pod tym względem społecznego współczucia wywoływanego w umysłach młodych czytelników ma ta książeczka wielką wartość, a że jest w tem rodzaju niedłwie że jedną, i że jest napisana z gorącym często umiesieniem miłości, żalu, i nawet wymówki, uderzającej w serce młodzieży którą los obdarzył spokojem, dobrobytem i miłością rodzinną, tem głębsze zrobić może wrażenie i tem szerzej rozleść się powinna. Autorka ma wrażliwość bardzo artystyczną, odczuwa piękno miasta i piękno przyrody i piękno ludzkiego ducha i urok chwil w życiu, a książka napisana jest z zasobem talentu powieściowego przekraczającego ramy utworów dla młodzieży i niejeden rys w postaci takiej pani Maryi lub doktora Władysława albo siostry Reginy byłby szczęśliwie pomysłanym nawet i dla typu z większego dzieła. Książka ta ma jeszcze jeden przymiot, rzadko kiedy ujawniający się w pracach dla dzieci w których autorowie znikają najczęściej sami zupełnie ze swoją indywidualnością, zniżając się i przedzierzgając w świat dziecięcy:—tutaj przeczuwamy autorkę ciągle poza jej książką, którą pisze właśnie tak a tak bo jest taką jaką jest i dlatego spotykamy w tem dziełku istotne, jasne jędrne i śmiałe—przekonania autorki. Nie dlatego dzieci moralizuje że tak pisać dla dzieci potrzeba, ale że gorąco chce aby były lepsze, a te które są już dobre, aby czuły że trzeba innych pociągać ku górze, że jest obowiązkiem stosunek między tymi niższymi a wyższymi, że jeśli tam w dole jest zło, to nasza wina, i że jeśli ma być lepiej, to my musimy, koniecznie musimy się do tego wziąć, pracować, dawać nie tylko pieniądze, bo to nie sztuka dać jeśli kto ma i chce rzucić datek, ale dawać siebie samego, dobre, jasne słowo, trochę czasu, dobrej woli, fatygi, słowem „rozdawać siebie samego swej braci“ wedle słów wielkiego poety, aby „z ciebie jednego były tysiące“ lepszych, zdrowszych duchem, mocniejszych cnotą, hartowniejszych przez szlachetne pierwiastki. Oto jest główna idea tej książki. I widzimy też w niej dwie siły, złą i dobrą, jak się ze sobą ścierają, walczą, zwyciężają i prócz bardzo drobnych wyjątków, słoneczny Ormuzd zwycięża Arymana ciemności.

Musimy się tu zatrzymać i uczynić parę uwag. Autorka jest optymistką; czy jest nią wogóle, czy tylko w tej książce dla młodzieży, to zresztą jedno, ale nawet w dziełku dla młodzieży może być zanadto optymistką, a groza złego może za szybko, za łatwo uległa dobremu wpływem czynników przeciwnych, co odejmuje nieco prawdopodobieństwa.

Gdyby walka była dłuższa, gdyby ta gromadka urwisów małych nie tak od razu niedłwie pociągnięta została przez tych szlachetnych Ziemińskich którzy się przyjaźnią ze stróżami i opiekują ich dziećmi jak swojemi, gdyby zło potrzebowało większej forsyz niż sypane na tych biedaków dobrodziejstwa, toby rzecz była, że się tak wyrażę, dramatyczniejszą, ale może wtedy przestałaby być książką dla młodzieży, byłaby może więcej psychologiczną ale mniej pouczającą.

ca, mniej pedagogiczną zatem, ta metoda posłuszeństwa złego dobremu, posłuszeństwa tak szybkiego chyba pozostać musi i zarzutu z tego robić nie można. Ale właśnie ci dobrzy ludzie, czy oni są całkiem naturalni? Czy taki p. Ziemiński który ciężko sam pracuje na rodzinę, na 3-ciem piętrze mieszka i odmawia sobie niejednego, może na swoje barki brać aż tyle ludzkich bied i tak się im poświęcać, czy on może idąc do biura zatrzymywać się po drodze w mleczarni aby moralizować małego hultaja i tak od ręki ducha w nim budzić? Czy taka rozsądna, dobra, serdeczna i obowiązkowa Marya, może zostawiać swą malutką Zosiunię z kucharką w kuchni a sama iść na koniec miasta do ambulatorium i tam pomagać opatrywać chorych? Czyż gospodyni takiego skromnego gospodarstwa, z jedną „taką Kasią“ którą musi uczyć gotować barszcz ma czas na to? i czyż matka małego dziecka pójdzie między chorych bez obawy przyniesienia dziecku swemu jakiego szkodliwego zarazka. Że dzieci stróża na wieś zabrała ze sobą, to słicznie i możliwe, ale te ciągłe wycieczki po mieście i to bezustanne matkowanie dzieciom stróża nie jest bardzo naturalnem bo jest prawie nie możliwem ze względu na czas i fundusz tych ludzi. Ta Zosiunia musi dawać swoje kaftaniczki, swoje zabawki biednym którym jej matka ani zna, na jedno słowo p. Władysława, szorstkiego studenta medyka który jest opatrnością swoich pacjentów. Wszystko to jest szlachetny optymizm, gdyby tak być mogło, toby było cudownie, ale niestety tak chyba być nie może. Dobry, nie tylko czyni dobrze kiedy *chce*, ale kiedy *może*! Autorce jednak chodzi głównie o obudzenie tego: chcenia, a jak się już szczerze czegoś pragnie, to i możność zdobywa się łatwiej, ale — niezawsze.

Autorka kocha lud warszawski; i w tej miłości społecznej są też zaślepienia. Powiada że gdy się tylko co przykrego komu stanie na ulicy, poczeiwi ludziska ratują się wzajemnie z sercem współczującym. Gdzie tam! Gapią się, śmieją, patrzą, zatrzymują, ale niestety, rzadko, bardzo rzadko kiedy, poda kto rękę choremu który upadł, pomoże doróżkarzowi podnieść konia, dźwignąć chłopu wóz który ugrzązł, pobiegnie po doktora do lecznicy, słowem właśnie współczucie tłumów dla jednostek jest ogromnie małe, tłum jest przedewszystkiem ciekawy widowiska i przedtęza je gapowatością i obojętnem lenistwem wnieśieniu posługi za którą dziesiątka nie dostanie. Ale zostawmy autorkę w jej serdecznej zaślepionej miłości ludu miejskiego który się ciągle o nas ociera, dotyka naszych rąk, piersi, a nie zawsze serce nasze dotyka się tej fali która płynie ulicami Warszawy a której los i ból sympatyczna autorka wzięła na skrzydła swego natchnienia.

Może to zresztą tylko na nowej drodze, brak dłuższego doświadczenia, bo w tym duchu to pierwsza, zdaje mi się, książeczka w którą weszły szczegółowsze socjalne poglądy autorki znanej nam zresztą już z pożytecznych i o ile pamiętam, serdecznie przez nas przyjętych dziełek dla młodzieży. Jakiegokolwiek jednak wyszukiwać byśmy chcieli usterki, będzie to tylko niezbędny pedantyczny dodatek sprawozdania z rzeczy bardzo pięknej, bardzo nowej, która zjedna autorce liczne szeregi czytelników i pobrata ją serdecznie z gromadką tych wydziedziczonych dzieci Warszawy, które sobie na bohaterów obrała.

Nie są to jeszcze wszystkie dzieci Warszawy, i nie wszystkie naszego miasta wspomnienia i nie wszystkie niedole, a książka niniejsza niezawodnie będzie tomem pierwszym, paru dalszych następnych którymi by p. Zofii Bukowiecka i przysługę i przyjemność uczyniła dzieciom Warszawy które czytają książki. I jedno jeszcze dodam, między tem biedactwem są sami chłopcy, a gdzież niedola biednej dziewczynki? biedniejszej może jeszcze, bo jeszcze silniej związanej z suteroną, poddaszem, domową nędzą rodziny, a zatem pozbawionej nawet tego chwiloowego wytechnienia andrusów jakim są wybrzeża Wisły, latanie na dalekie przedmieścia, wdzie-

ranie się wszędzie gdzie tylko mały chłopak zachwala i zawadyka wcisnąć się może dla zabawy, rozrywki lub zdobyczy.

Uczyniono autorce parę zarzutów, których wcale nie podzielam: mianowicie że książka zawiera zanadto jaskrawe obrazy złego (na przykład matka dwojga dzieci upijająca się i opuszczająca swoje biedactwa w nędzy) i że nie można tej książce dać dzieciom, które już mają złe skłonności. Jeśli jest złe, i jeśli dzieci na nie codziennie patrzą, to dla czegoż nie mają o niem czytać, skoro w książce są wyluszczone okropne skutki złego i wszystkie następstwa. To przecież całkiem rzecz logiczna, a właśnie smutna rzeczywistość pochodząca z zaniedbania obowiązków, z próżniactwa, z chciwości, ze złości i zawiści, o które ocieramy się codziennie i które stanowią połowę ludzkiego żywota czemu nie mają być znane młodzieży, która już ma sąd o rzeczy, świadomość obowiązków i powinna mieć wstręt do złego. Wogóle dziełka dla młodzieży dotychczas u nas grzeszą przedstawianiem świata w różowych barwach, rozmijaniem się z rzeczywistością życia i podawaniem czytelnikom jakiegoś egzotycznego, etycznego kwiatu bez walki i starcia, z zakończeniem treści najczęściej pomyślnem, a bohaterami są do znudzenia często dzieci rodziców zamożnych, opływające we wszystko czego dziecko używać może. Dodać musimy że między tymi wybraniami znajdują się, bardzo licznie, właśnie moralne andrusy, a kto ich chce widzieć, niech się przyjrzy uważnie dziecinnej komedii próżności i zalotności w ogrodzie saskim, gdzie stadko modnie postrojonych marynetek flirtuje nad wiek biegle z gromadką bladych uczni udających młodzieńców.

To także dzieci Warszawy o którychby cały tom napisać można, a w gruncie nie lepszych od tego głodnego biedactwa które się tuli po suteranach i szuka nad Wisłą wytchnienia. Zdaje mi się że tamta właśnie gromadka z ogrodu saskiego posiadająca sporą dozę złych skłonności nie zgorzysie wcale jeśli przeczyta książkę p. Bukowieckiej i dowie się z niej, że jest nędza dziecka, noclegi na barłogu w oborze, głód i troška czepiające się drobiazgu, że są pokusy i walki które ci mali współobywatele przeżyć muszą i wyjść z nich obronną ręką bez pomocy sztabu nauczycieli, bon i dozorczyń.

Najlepszym zawsze tematem jest — prawda, a podała ją autorka umiarkowanie, bardzo umiarkowanie przedstawiając to złe otoczenie w jakim się psują dzieci ludu. Wiemy przecie że to wcale nie wszystko, no, ale właśnie w książce, ograniczyła się pisząca do rzeczy najważniejszych i najmniej drażliwych. Dzieci które mają złe skłonności przejrzą się w tej książce, te które ich nie mają, (jeśli są takie — jeśli są!) tem głębsze poczuja współubolewanie dla mrowia drobiazgu, który się szamoce w biedzie i ciemności ducha, a głowę do góry podnosi o ratunek ku tym, którzy stoją wyżej i pewniej na społecznym gruncie, ku tym którzy umieją, jak siostra Regina rozeznąć w głuchym szmerze kroki dobra, technienie piękna, powiew prawdy, ale i głuchy pomruk złego z którym walka serdeczna jest nie tylko obowiązkiem ale i szczęściem prawdziwie dojrzałego człowieka.

Dlatego, zdaje mi się, że autorka musiała być w cichości ducha szczęśliwą skończywszy swoją piękną i serdeczną książkę, która jej zjedna i czytelników i — przyjaciół.

Szczesna.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

VI.

Nadszedł wreszcie dzień 30 Czerwca, wyznaczony na elekcyę.

Ze wszech stron ciągnęły liczne i bogate orszaki różnych panów, złociste kolasy biskupów mijały się na gościńcach z oddziałami wojsk nadwornych świeckich dostojników. Tłumy szlachty zaległy pola pod Wolą, a słońce, spoglądając z wysoka, dziwiło się wspaniałemu widowiskowi, jaki tworzyło to barwne i świetne zgromadzenie.

Zborowscy i cała ich partya przybyła na elekcyę z licznymi partjami dworzan i sług, wiodąc przytem za sobą dziesięć tysięcy wojska, po większej części cudzoziemskiego. Rozłożyli się obozem pomiędzy Tarczynem a Powsinem. Szlachta, trzymająca ich stronę, również tam stanęła. Natychmiast po przybyciu obóz rozlegać się zaczął gwarem uczt, wydawanych przez Górkę, w ten sposób chcąc go pozyskać sobie stronników; wieczorem oblewała go luna światła i rozlegały się okrzyki i pieśni.

Po drugiej stronie miasta, między Powązkami a Folwarkami, okopały się hufce hetmańskie. W tym obozie panował najwyższy porządek i karność wojskowa, jakby dla wyróżnienia się od Zborowskich. Z obawy jakichś krwawych starć między dwoma wojskami, marszałek wielki koronny, Opaliński, to miejsce oznaczył dla szyków hetmańskich. Były one daleko szczuplejsze niż hufce Zborowskich, lecz za to w karności i porządku o wiele je przewyższały. Odziane czarno, budziły tysiące przyczynków ze strony Zborowczyków, którzy, na przekór, stroili się w jaskrawe barwy.

Z przeciwnej strony Wisły, pod Kamionką, stanęła Litwa spokojnie, nie chcąc się mieszać do niczego. Na czele jej stało trzech Radziwiłłów, z tych wojewoda wileński stronnikiem był hetmana, kardynał zaś i wojewoda trocki trzymali ze Zborowskimi. W ogóle jednak szlachta litewska nie pragnęła ni jednego ni drugiego kandydata mieć na tronie.

Przez dni dziesięć trwały wciąż krzyki i targi, tak w senacie jak w kole rycerskim i Zamojski uznał za właściwe nie ukazywać się przez ten czas na obradach.

Najbardziej krzyczał Czarnkowski, poseł poznański oraz Gaspar Dembiński; inni poplecznicy Zborowskich wtórzyli im. Nie pomogli przedstawienia Szafranca z Piaskowej Skąły i Mikołaja Firleja, którzy ofiarowali się pogodzić Zamojskiego z jego przeciwnikami. Zborowscy nie chcieli przystać na wniosek, by w czasie układów między przewodzcami stron obu, wojska Zborowskich odciągnęły w stronę Czerską a wojska hetmańskie ku wsi Wildze; i to było przyczyną zerwania wszelkich kroków pojedynczych. Postanowiono tylko, dla uniknięcia zaburzeń i kłótni w senacie, by Zborowscy i Zamojski przychodzili tam kolejno, nigdy zaś razem.

W obozie hetmańskim, pod namiotem, gwarzyło trzech towarzyszy. Był tam pan Ignacy, przyjaciel jego i towarzysz, pan Jacenty Pobóg i rotmistrz Wąsowicz.

— Nudy bo w tym obozie śmiertelne, — mówił pan Ignacy. — Czasem przychodzi mi do głowy co by to było, gdybyśmy tak we trzech wykradli się nocą i poszli pomiędzy tych Zborowczy-

ków,—dopiero narobiliśmy bigosu! Co myślisz o tem, Jacusiu?

Pan Jacenty nie odpowiedział, leżał tylko wpatrzony w sufit namiotu i nucił coś pół głosem. Wąsowicz zaś ruszył ramionami i odparł:

— Wszak wiadomo wam, panie Ignacy jak surowo hetman zabronił wszelkich pojedynków ze Zborowczykami. Nie przystoi nam dawać przykłady niekarność pacholkom i ciurom, którzy i bez tego do zwad pohopni wielce.

Pan Ignacy nie odpowiedział, po chwili jednak zawołał na Jacentego:

— A coś ty tam, ogłuchł? Przestałbyś mruzczeć; chyba chcesz wszystkie myszy z obozu wystraszyć.

Pan Jacenty, nie zważając na to, dalej śpiewał głosem czułym:

Dobranoc, dziewczę moje,
Dobranoc serce moje,
Już brudnym cieniem okryły się nieba...

— Psy wyją tylko gdy miesiąc zejdzie, między ludźmi zaś są tacy, co gotowi wyć cały dzień boży, — mruknął pan Ignacy zniecierpliwiony.

— Nie gniewaj się, mój miły, bo gniew snadno może ci na zdrowiu poszkodzić, — odrzekł pan Jacenty spokojnie, wciąż patrząc w sufit. — A co do twego zamiaru, to jeśli mam rzec prawdę, to widzi mi się, musiał on zrodzić się w gorączce albo innem jakowem zamroczeniu umysłu—bo człek przy zdrowych zmysłach tego by nie doradzał...

— A czyś sam onegdaj nie mówił o tem, że chciałbyś się spróbować z onymi Morawczykami i Słazakami? — zawołał pan Ignacy nieco zbity z tropu.

— Ale skoro wyszedł rozkaz hetmański, by z nikim nie szukać zaczepki, przestałem myśleć o tem, — odrzekł pan Jacenty.

— Kto wie czy i bez tego nie przyjdzie do jakowchś krwawych starć, — rzekł Wąsowicz, — bo Zborowczyki coraz to zuchwalsi się stają. Wiecie o tem, że wczoraj któryś z dworzan marszałka nadwornego, strzeliwszy do orszaku hetmana, zabił sługę pana Ostrowskiego, a w pierw już nieraz niejednego raniono. Co jednak najgorsze to, że oni na życie samego hetmana następują...

— A, niedoczekanie ich! — zawołał pan Ignacy, zrywając się. — Wpierw z nich niejednego da gardło; poznają, że i my szabel nie nosimy od parady!

— A jednak to nie wesola rzecz godzić na swoich, — rzekł Wąsowicz w zamyśleniu zwłaszcza, gdy tak jak ja, ma się po drugiej stronie kilku krewniaków...

— No, to ja przecież tak samo, — zawołał pan Ignacy; — mam brata w obozie Zborowczyków. Licho wie, z kąd mu taka głupia myśl przyszła do głowy, żeby z nimi trzymać.

— Ja tam nikogo nie mam po przeciwnej stronie, — odrzekł pan Jacenty, — a jednak nie chciałbym, by przyszło do bitwy, choć zdaje się, że się bez tego się nie obejdzie.

— Bardzo im stanęło solą w oku to, żeśmy się okopali, — rzekł Wąsowicz, — i dlatego pod pozorem ratowania wolności Rzeczypospolitej, sami uzbrają się zaczęli. Prawda, że mamy mniej wojska od nich, ale wszystko to prawie stary żołnierz króla Stefana, doświadczony w wielu bitwach, gdy u nich, z wyjątkiem hufców kilku panów, po większej części sama zbieranina cudzoziemska. Przypatrzyłem ja się im dobrze onegdaj, kiedy przybyli na pole sejmowe, wszystkie te kudłate knęchty nie wytrzymałyby jednego naszego natarcia, a oficerowie ledwie umieją od biedy sprawić szyki. Jeden pan Jazłowiecki ma lepsze wojsko, ile że na Tatarach zaprawione, reszta niewiele warta.

— Ale szlachty mają dużo za sobą, — rzekł pan Jacenty.

Wąsowicz machnął pogardliwie ręką:

— Miałem już nieraz sposobność przekonać się w obozie, co warte pospolite ruszenie, więc

i teraz nie boję się ich liczby, choćby i największej.

— Zresztą po naszej stronie stoją senatorowie, tacy jak wojewoda kijowski i wojewoda wołyński, jak marszałek koronny oraz podskarbi.

— I myślę, że z każdym dniem coraz więcej będzie przechodzić na naszą stronę, — rzekł Wąsowicz. — Ja bo pojąć nie mogę dlaczego nasza szlachta wzdraga się przyjąć kardynała Batorego na króla; pan to mądry i dzielny, który snadno mógłby złożyć sutannę i potrafiłby stać na czele wojska, wzorem króla Stefana...

— Dlaczego, pytasz? — przerwał pan Jacenty. — Bo głupi, — bo im Zborowscy nagadali jakichś niebywałych rzeczy o kardynale. Ja powiadam to dawno; dokąd ten ród przekłety nie wyginie co do jednego, dopóty nie będzie spokoju w Rzeczypospolitej.

— A ten ich siostrzan, Dyabeł łańcucki, lepszy jeszcze od nich samych...

— Spotkaliśmy się onegdaj z panem starostą zygwulskim, — rzekł pan Ignacy. — Widziałem, że mię poznał, bo tak spojrzął na mnie, jakby mię żywcem chciał połknąć...

— Takiego wroga jak on, to ci nie zazdroścę, — rzekł pan Jacenty. — Zawsze mówiłem, — dodał, zwracając się do Wąsowicza, — że ten chłopak na gładkiej drodze szuka guza.

— Tylkoż ty cicho bądź, mój panie mędrku, — przerwał Ignacy. — A dawnoś się to pojedynkował ze starościcem liwskim?

— Pewnie, jak mi powiedział, że u Łęczycanów cały rozum mieści się w końcach szabel, to musiałem ująć się o moją ziemię... Tobie zaś poprostu cięży ten jedyny łeb, jaki posiadasz i chcesz go wszędzie nadstawiać.

— Widocznie, musiano tam nasypać jakie pół korca piasku przynajmniej...

— Nie wiem czy waszmość słyszałaś nowinę, — mówił tymczasem pan Ignacy z całą powagą, — towarzyszu mój, pan Jacenty Pobóg wstępuje do zakonu; przygotowując się do tego stanu, postanowił pędzić żywot wielce przykładowy; szczególnie unika rozlewu krwi, i wczoraj, gdy przypadkiem zabił muchę, odprawił potem surową pokutę...

Wąsowicz śmiał się, znał bowiem dobrze owe sprzeczki między dwoma przyjaciółmi, którzy kłócili się i godzili się dziesięć razy dziennie. Pan Jacenty mawiał też:

— Ja jestem woda a Ignacy ogień; gdy widzę, że ogień zbyt się rozmoże i grozi pożarem, wówczas przygaszam go nieco, a on pryska i syczy, — zwyczajnie ogień...

* * *

Nazajutrz senat, jak zwykle, zgromadził się „w szopie“, to jest we wspaniałym namiocie, z wierzchu, dla ochrony od deszczu, pobitym tarciami. Wewnątrz, na ławach okrytych czerwonym suknem zasiadł na pierwszym miejscu prymas arcybiskup gnieźnieński, Stanisław Karnkowski, pochylony już nieco wiekiem i chorobą, ale zawsze dumny i ambitny; wyglądał teraz majestatycznie w fioletowej szacie, w drogiej infule, nasadzonej klejnotami, ze złotym pastorałem w rękę, mając przy boku krucyfery oraz liczny orszak duchowieństwa. Poniżej siedział Dymitr Sulikowski, arcybiskup lwowski oraz biskupi: krakowski, kamieniecki, którym był wówczas rozumny i zany Wawrzyniec Goślicki — i inni. Po nich następował poczet senatorów świeckich, wszystko w niezmiernie bogatych strojach.

Właśnie Zborowscy tylko co opuścili senat, teraz więc, wedle układu, miał wejść Zamojski. Zbliżał on się ku szopie z orszakiem dworzan, sług i zbrojnych, gdyż widząc, że Zborowscy zawsze przychodzą na obrady z ubrojonemi pocztami a nawet armaty ciągną za sobą, uznał za stosowne także przedsięwziąć środki bezpieczeństwa.

Zamojski miał wtedy lat około pięćdziesięciu. Oblicze o rysach szlachetnych i wysokim czole, nad którym włosy już zaczynały miejscami si-

wieć, posiadało ten wyraz, który miewają ludzie, przeznaczeni do panowania; łączył się tam rozum, duma i spokój i ta owa pewność siebie, nie zawodząca nigdy.

A obok godności w całym zachowaniu się i postawie, widniała prostota taka, jak gdyby ten człowiek urodził się już do wysokich godności, jak gdyby owo stanowisko, na które się wznosił dzięki osobistym zasługom i zdolnościom, było dlań rzeczą zwyczajną.

Ubrany był cały czarno; żupan z tkaniny czarnej, przerabianej ze srebrem, na tem delia czarna aksamitna, spięta dyamentową kłanrą. Dworzanie, przyjaciele i domownicy również byli żałobnie przybrani. Dokoła szopy, na koniach stała szlachta z rozmaitych województw. Bliżej stały województwa: krakowskie, sandomierskie i poznańskie, wśród którego rej wiódł ślepy Czarnkowski.

W kole rycerskiem gotowało się jak w kotle; wszyscy strennicy Zborowskich, otoczeni zbrojnymi pocztami, uwijali się od województwa do województwa, namawiając, przekonywując. Prym między nimi trzymał Jazłowiecki, który umiał najlepiej zjednywać umysły szlachty. Dalej znajdowali się: Stadnicki i Marcin Ostroróg, obaj siostrzeńcy Zborowskich, oraz Gasper Dembiński, obrany marszałkiem sejmowym przez własną partyę.

Zborowscy wychodzili właśnie z senatu: naprzód szedł Jan Zborowski, kasztelan gnieźnieński, otoczony orszakiem sług i pacholców zbrojnych; za nim, również otoczony Andrzej, marszałek nadworny. Dumnie i niechętnie spojrzeli na hetmana, Andrzej nawet, człek niezmiernie gwałtowny, chwycił się za rękęję szabel, lecz Zamojski zniósł to wszystko z pogodnym czołem, i nie spuszczać wzroku posunął się ku drzwiom szopy.

Natychmiast jednak za jego plecami wszczął się spór; oba orszaki zwały się z sobą i nie chciały ustępować.

— Z drogi! — krzyczeli ludzie Zborowskich.

— To wy z drogi! — krzyczeli hetmańscy.

Gwar powstał okropny; hetman się odwrócił, by wzrokiem poskromić niespokojnych gdy jeden z dworzan Zborowskich wymierzył nań rusznicę.

Stojący tuż za nim Wąsowicz rzucił się, swoją osobą osłaniając hetmana. Padł strzał i rotmistrz ugodzony kulą w głowę, runął do stóp hetmana, nie jęknawszy nawet.

W pierwszej chwili wszyscy oniemieli ze zgrozy; nawet ludzie Zborowskich zdawali się niektórzy przerażeni; zabójca natychmiast skrył się w tłumie.

Pan Ignacy i pan Jacenty, znajdujący się także w orszaku hetmana z krzykiem poskoczyli ku upadającemu przyjacielowi; z wszystkich stron słyhać było wyrazy oburzenia, oraz przekleństw na Zborowskich i gdyby obecność hetmana nie wstrzymywała, niechybnie więcej krwi zostałoby przelanej.

Pan Jacenty pochylił się nad poległym a przekonawszy się, że już nieżyje, podniósł w górę pięść ściśniętą i zawołał:

— Przysięgam, że nie przepuszczę odtąd żadnemu Zborowczykowi, jeśli mi tylko w ręce wpadnie!

Twarz jego, zwykle spokojna, przeobraziła się teraz i stała się straszną; oczy płonęły jakimś ponurym ogniem.

Pan Drohojowski, starosta przemyski trząsł siwą głową, powtarzając:

— Calamitas, calamitas!

Hetman nie mniej wzruszony od innych, patrzył na zwłoki człowieka, który zginął przez poświęcenie dla jego osoby, wspominając różne wyprawy, w których dzielny ten rotmistrz odznaczył się pod jego okiem, — aby teraz poledz od rąk współbraci. Kazał później zabrać zwłoki i odnieść do obozu.

Pan Ignacy i pan Jacenty towarzyszyli smutnemu pochodowi; ten ostatni nie mógł oderwać oczu od twarzy przyjaciela i wpatrywał się w nią w złowrogim i posępnym milczeniu a pięść jego zaciskała się coraz silniej. We wzroku jego

malowała się taka jakaś zawziętość, że gdyby to był zabójca, zdrząłby o swoją głowę.

Hetman, wszedłszy do senatu, natychmiast przedstawił zgromadzeniu całą hańbę postępowania partyi Zborowskich. W mowie jego, choć spokojnej jak zwykle i pełnej godności, przebiegało się oburzenie i wzruszenie:

— Do tego więc przyszło w tej Rzeczypospolitej, że obywatel nie może być bezpieczny wśród obywateli? Gdzież więc jesteśmy? Czy pomiędzy Tatary, Turki, czyli w gronie własnych rodaków? Nie wstydzimy się przed zgromadzonymi posłami obcych narodów dawać przykłady wyuzdania i swawoli.

Mowę hetmana głośzyły gwałtowne krzyki; w kole rycerskiem szumiało jak w ulu, a wrzaski ztamtąd dochodziły aż do senatu.

Pomiędzy krzykaczami górował Czarnkowski:

— Nie chcemy dyktatora! — wołał. — Niech kanclerz Zamojski oddali wojsko, które z dobytym orężem stoi nam nad karkiem, niech złoży buławę hetmańską, a wówczas dość będzie czasu na gadanie z nim! Dokąd tego nie robi, nie mamy co z nim mówić!

Gasper Dembiński zaś prawil:

— To mało jeszcze, że Szweda chcą nam gwałtem narzucić, lecz kanclerz ma jeszcze i drugiego kandydata w odwodzie. Jak sądzicie, panowie bracia, co znaczy ów przyjazd kardynała Batorego do Miechowa? Nie przybywa on, bądźcie tego pewni, prosić was o koronę, potrafi ją wziąć i sam; wsparty prepotencją kanclerza, posiłkami siedmiogrodzkiemi oraz poparciem sułtana, obejmie tron nasz gwałtem. O hańbo! więc do tego ma dojść Rzeczypospolita, że bisurmanie królów jej wybierać poczną?

Szalone okrzyki zagłuszyły dalszą mowę.

— Precz z Batorem! Niech wracają do Siedmiogrodu!

Wśród krzyków i hałasów nie można było zrozumieć i stronnicy hetmana musieli umilknąć, bo ich zakrzyczano.

Zamojski z miejsca swego spoglądał na to zamieszanie, jak sternik patrzy śmiałym okiem na szalejącą burzę, podczas gdy bałwany z hukiem rozbijają się o boki okrętu. Smutek poprzedni ustąpił na jego obliczu, jakimś wyrazowi spokoju i powagi dostojnej; nie próbował już dojść do słowa i stał tak, wyniosły, nieustraszony, podczas gdy ta fala głosów i namietności ludzkich przewalała się obok niego.

Na trzeci dzień hetman wyprawił wspaniały pogrzeb Wąsowiczowi. Wszystkie chorągwie wystąpiły z obozu, towarzysząc dzielnemu rotmistrzowi na miejsce wiecznego spoczynku. Nad grobem wychwalano jego męstwo i zasługi wojenne, położone w rozmaitych potrzebach. Trumny otaczali koledzy, rotmistrze z pod innych znaków hetmańskich; surowe ich ozdoby bliźnami, twarze wyrażały smutek na myśl, że towarzyszy nie poległ w boju z nieprzyjacielem, lecz tak marnie zginął od kuli jakiegoś służalca.

Teraz już nie było dnia, któryby przeszedł bez zatargów między dwoma obozami. Pojedynki były na porządku dziennym. Nie pomógł zakaz hetmana a nawet surowe kary, jakie naznaczył za naruszenie tego zakazu; zwłaszcza pan Ignacy i pan Jacenty wciąż płatali lby Zborowczykom. Pan Jacenty każdego naznaczonego przeciwnika zapisywał sobie, a wtedy w oczach jego świeciła dziwna zawziętość.

Dzień był upalny; ani jedna chmurka nieukrywała słońca, które sypało żar z nieba. Na ulicach Warszawy było pusto od rana, kiedy nagle około południa ludzie zaczęli się gromadzić na placu, w pobliżu kościoła S-to Jańskiego, oraz na ulicach, patrząc w stronę Woli, z kąd dochodził głuchy jakiś turkot i dudnienie.

— La Boga, co też to się dzieje? — mówiły między sobą przekupki, nasłuchując co gwarzą ludzie, biegnący śpiesznie ulicami.

— Panie Macieju, na rany Chrystusa, powiedzcie, czego to ludzie tak się gromadzą? — zapytała jedna z nich przechodzącego mieszczanina.

— Bitwa ponoś będzie pod Wolą, — odrzekł ten.

— Bitwa! Oj, rety! — trzeba zbierać ze straganów! — zakrzyknęły wszystkie przekupki i rzuciły się do zbierania swoich towarów.

— O i pociecha, — prawil tymczasem na rogu ulicy stary, poważny mieszczanin. — Zagraniczni posłowie będą mieli widowisko bezpłatne, patrząc jak szlachta i panowie rąbią szablami po własnych karkach!

— Ale my za to widowisko możemy zapłacić, — mruknął drugi.

Tymczasem z klasztoru jezuickiego, znajdującego się przy kościele S-go Jana wyszedł w orszaku duchowieństwa mały, kulawy i chudy człowiek w fioletowej sutannie. Był to nuncyusz apostolski, Anibal di Capua. Jego czarne, ruchliwe oczy badały horyzont, lecz nie mógł obaczyć, ponieważ zasłaniały domy.

— Wejdę na wieżę, — chcę koniecznie obaczyć co się tam dzieje! — zawołał z żywością do przełożonego jezuitów stojącego przy nim.

I pomimo swego kalectwa, żwawo wydostał się na wieżę, otoczony jezuitami; ztamtąd całe pole pod Wolą widne było jak na dłoni.

Oto jaki widok przedstawił się jego oczom.

Na polu, w pobliżu szopy stały uszykowane hufce Zborowskich: jazda, piechota, działa, — tak jak gdyby się gotowały do bitwy. Z szanów zaś widać było wychodzące szyki Zamoyskiego, gdy od wschodu ciągnęły poczty książąt Ostrogskich, marszałka Opalińskiego i Szafranca, wojewody sandomierskiego. Z drugiej strony stała artyleria Zamoyskiego.

Nuncyusz, — ujrawszy to, — klasnął w ręce.

— Bitwa! — zawołał. Nie lepszego nie może być dla naszych planów! Bitwa! tego pragnęłam oddawna! — powtarzał uradowany. Teraz arcyksiążę może być pewnym wygranej!

Ani on jednak, ani nikt w mieście nie pojmował co takiego zająć mogło, że aż wywołało zbrojne starcie. Nuncyusz kazał też wysłać natychmiast gońca na pole elekcyjne, by mu ztamtąd przywiózł wieści.

Cała owa burza powstała z następnych przyczyn: Prymas, który już od dni kilku z Zamojskim się porozumiewał potajemnie, gdyż zmęczony temi zatargami nie ustannymi pragnął jak najprędzej skończyć wszystko i postanowił wreszcie otwarcie ogłosić się za królewiczem szwedzkim w kole generalnem, aby Zborowscy nie czynili mu zarzutów że skrycie przeciw nim działa.

— Tracimy czas na próżno, mówił, — w kraju nieporządek, należy więc wreszcie przystąpić naprawdę do obioru pana. Ze wszystkich kandydatów, którzy się ubiegają o tron pozostaje jeden tylko królewicz szwedzki, pochodzący z zacnej krwi Jagiellonów wychowany w wierze katolickiej i przez matkę od dzieciństwa mowy naszej wyuczony. — Cóż się mamy dłużej namyslać? — Okrzyknijmy bez dalszych sporów elekta, który najwięcej dobra koronie przynieść może i najwięcej głosów w narodzie znajdzie.

Okropny hałas — przerwał Prymasowi mowę, a Andrzej Zborowski — zawołał szyderczo:

— Czy Prymas sam głosem swoim mianuje króla, nie racząc nawet innych zapytać o zgodę?

— Nie, — odparł Prymas z godnością zdanie moje tylko oświadczyłem.

— A więc kogoż mianować zamysławicie, księżę prymasie? — spytał kasztelan gnieźnieński.

— Na kogo padnie wola narodu, — odrzekł prymas, lecz co się mnie tyczy, nie życzyłbym sobie z Niemcem do domu powracać.

— A Szwed, to niby nie Niemiec! — zawołał głos jakiś z tłumu.

— Matka jego jest Polką i Szwedzi oddzielnej są nacyi. — odparł prymas ze spokojem.

Tu wysunął się naprzód Górka i zawołał złośliwie.

— Ciekaw jestem czy król szwedzki dużo płaci tym, co za jego synem głos dają?

— Spytajcie o to księcia Prymasa, panie wojewodo! — zawołał z drugiego końca Czarnkowski. On wam najlepiej może powiedzieć!

— Mości panowie! — zawołał, podnosząc się, oburzony prymas, jako senatorowie postępujecie godność senatorską podobnemi mowami!

Podskarbi Dulski przerwał to zajście, oświadczając że hetman nie przybył nie chcąc zwiększać zatargów, lecz że spełni wszystko co senat postanowi gwoili spokojności publicznej.

Nie spostrzeżono nawet tego że Andrzej Zborowski, Górka, Studnicki, Jazłowiecki i Ostrogów wyszli jeszcze w pierw z izby senatu narażając się nad czemś żywo. Wreszcie marszałek nadworny wysłał do własnego obozu gońca, który popędził co koń wyskoczy. Jazłowiecki jakiś czas zdawał się opierać, w końcu jednak dał się przekonać i pognął sam do obozu. Spokajwszy po drodze towarzysza z pod własnych znaków, — zawołał nań:

— Biegaj waszeć do obozu, niech tu pan obożny wraz do mnie przyjdzie!

Za chwilę obożny stał przed nim, — czekając na rozkazy:

— Każ waszność zatrąbić, niech wszystkie chorągwie na koń wsiadają i ruszają pod Wolę! — rozkazał starosta śniatyński.

Obożny pobiegł spełnić rozkaz i niebawem w całym obozie rozległ się odgłos trąb. Tymczasem hufce innych panów również szykowały się do wyruszenia i po jednym wychodziły na pole.

Nikt z rotmistrzów ani oficerów nie wiedział co ten rozkaz znaczy, dopiero gdy usłyszeli że mają ruszać pod Wolę, domyśliли się że gotuje się orężna rozprawa. Dla cudzoziemców było to zupełnie obojętnem. Polacy jednak z niechęcią o tem myśleli, że będą zmuszeni próbować szabel na karkach swoich znajomych, a może i bliskich. To też w hufcach kasztelana kamienieckiego i marszałka nadwornego powstały nawet szmery nie zadowolenia; tylko chorągwie Jazłowieckiego, przywykłe do karności wojskowej, szykowały się w milczeniu, pod okiem samego starosty, którego sokoli wzrok zlustrował je wszystkie odrazu, za jednym spojrzeniem.

— Waszeć ze swoją chorągwią zostaniesz przy moim boku, — rzekł, — ujrawszy pana Jana, który szybko sprawiwszy szyki, — stał gotów do wyruszenia. Był on w dziwnym jakimś oszaleńczeniu; po głowie mu się tłukła wciąż jedna, jedyna myśl: „Będzie bitwa,“ — ale co dalej potem nastąpi, — nie zdawał sobie sprawy w tej chwili, — był jakby ogłuszony.

Oto już wszystkie siły wyruszyły z obozu i rozwinęły się na polu; na przodzie jazda marszałka nadwornego, oraz hufce kasztelana gnieźnieńskiego, potem niemiecka piechota Górki, poczty Ostroga, Studnickiego, na końcu zaś, z ciężkim turkotem, od którego ziemia drżała, — szła artyleria.

Pan Jan, wedle rozkazu, — trzymał się ze swą chorągwią przy boku starosty, i tak przybyli na pole elekcyjne.

Właśnie Dulski wyrzekł połowę tego co miał powiedzieć w imieniu hetmana, gdy rozległ się tentent kopyt i ciężki turkot, a przez otwór w namiocie ujrano działa, prosto wymierzone na senat.

Trudno powiedzieć jakie uczucia podniosły się w piersi tych, co się tam znajdowali; można tylko przypuścić że niejeden wołałby w tej chwili znaleźć się gdzieindziej, niż w senacie.

— Konia! — krzyknął marszałek Opaliński i wskoczywszy wraz na podanego mu wierzchowca, co prędzej popędził ku hufcom swoim. To samo uczynili Dulski, Szafraniec, oraz książęta Ostrogscy.

Biedny, stary prymas zatrwożył się mocno i drżąc poczał. Wstał ze swego miejsca i wsparłszy się na dwóch kanonikach, — zbliżył się ku wejściu.

Inni senatorowie również pozrywali się z miejsc swoich.

Tymczasem już z szanów wystąpiła jazda hetmańska, której hełmy i skrzydła połyskiwały na słońcu; piękne pułki książąt Ostrogskich ciągnęły z zachodu, Opaliński jechał także na czele swego żołnierza, a Szafraniec na czele szlachty sandomierskiej. Pył podniósł się pod kopytami wiatr rozwiewał proporce i pióra, ziemia dudniła pod naciskiem ciężkich dział. — Oba wojska szły prosto na siebie.

Starosta śniatyński wysunął się nieco naprzód, a ponieważ pan Jan miał rozkaz nieodstępowania go, więc też ruszył za nim ze swą chorągwią i tym sposobem znalazł się naprzeciwko szlachty sandomierskiej, prowadzonej przez Szafranca.

— Stój!— krzyknął nagle ztamtąd głos jakiś, tak donośny, że przeniósł nawet turkot dział, i tentent kopyt. Pan Jan zadrżał, usłyszawszy go, i spojrzał przed siebie.

O kilkanaście kroków ujrzał siwą głowę stryja, który patrzył na niego surowo groźnie, podniósłszy rękę w górę ruchem nakazującym.

W głosie jego było coś takiego, co wstrząsnęło do głębi duszą młodzieńca; cofnął mimowoli konia, jak gdyby zobaczył przed sobą widmo.

Jednocześnie prymas, choć strwożony i chory przypomniał sobie swój obowiązek, wsiadłszy na koń i rozkazawszy jechać przed sobą krucyfery i z krzyżem,—rzucił się w pośrodek zbliżających się ku sobie szyków.

— W Imię Boga,—stójcie!—zawołał.

Hufce zatrzymały się. Prymas,—podjechałszy ku hetmanowi, ozwał się błagalnie:

— Mości hetmanie,—zaklinam was,—rozkażcie cofnąć się waszym wojskom! Niech tego pola, gdzieśmy się zeszli ku spokojnemu obiorowi pana, nie plami krew bratnia!

— Książę Prymasie,—rzekł hetman spokojnie, nie jam rozpoczynał to wszystko i nie moja wina będzie jeśli krew się poleje; Bóg widzi ile starań dokładałem by do tego nie doszło. Ale teraz nie cofnę się, dokąd Zborowscy stać będą pod bronią. Im raczej mówcie, by się upamiętali.

Prymas zrozpaczony,—zwrócił się ku stronie przeciwnej:

— Panie marszałku, panie kasztelanie,—mówił do obu Zborowskich,—upamiętajcie! Wydajecie się na zgorzenie i widowisko świata całego! Obcy patrzą na was,—nie dawajcie im przykładu niesforności i niezgody!

Słowa jego były daremne. Jan, kasztelan gnieźnieński, człowiek spokojniejszy, który tylko trzymał z braćmi, by nie odstępować rodziny, byłby może usłuchał, ale marszałek, gwałtowny i popędliwy,—zakrzyczał:

— Książę Prymasie,—idźcie na ambonę mówić kazanie! tam wasze miejsce, ale nie tu, wśród wojska i armat!—Odejdźcie, bo wkrótce niebezpieczno będzie dla was stać tutaj!

— Gdy posłyszycie świst kul, snadno moglibyście zemdleć ze strachu!—ozwał się nadjeżdżający Górka.

Czarnkowski, który pomimo ślepoty, także się tam znajdował i pragnął bitwy jak najgoręcej,—a jako dysydent,—nie lubił duchownych katolickich,—zawołał także uszczypliwie:

— Tak, tak, poco się wam narażać, książę Prymasie, już i tak niewiele wam się należy, kula nie miałyby roboty z wami!

— Drugi to raz już słyszę od was uszczypliwie przycinki, panie Czarnkowski,—rzekł Prymas wyniosłe, i zarówno jak mnie słuchać, tak wam nie przystoi występować z niemi, bo i wiek wasz, i godność posła sprzeciwiają się temu.

Herburt, na przedstawienia Prymasa rzekł sucho:

— Książę Prymasie, ponieważ niesłyszano nigdy by płatnerz mógł dobrze sądzić o złotnictwie, ani kowal o stolarstwie, przeto zwykłem o rzeczach duchownych radzić z duchownymi, a o rzeczach wojennych z wojskowymi.

W samym początku, wśród zgiełku i zamieszania padło kilka kul i jedną z nich został zabity Brzeziński, kanonik inowrocławski, stojący w izbie senatu, obok biskupa swego. Skoro wieść ta doszła do Prymasa,—wezwał kasztelana Podlaskiego, by mu dopomógł w nawoływaniu ku

zgodzie, Leśniowski począł przedstawiać, że już i tak krew niewinna splamiła izbę senatu i powinna przywieść obie strony do upamiętania. Inni biskupi i senatorowie świeccy przyłączyli się doń prosząc i przekładając zgodę.

W końcu,—widząc że słońce chyli się ku zachodowi, partya Zborowskich dała się namówić i zaprzestała kroków nieprzyjacielskich. Jednakże oba wojska stały tak pod bronią, aż do wieczora.

W nocy mieszkańcy Warszawy ujrzeli ogromną łunę oświecającą niebiosy w stronie Woli: to prymas kazał spalić szopę, która będąc krwią kanonika Brzezińskiego splamiona, nie mogła już nadal służyć ku obradom.

Nową szopę postawiono bliżej obozu Zborowskich, gdyż przedtem—narzekali że tamta była zbyt daleko,—i prymas wyświęcił ją przed rozpoczęciem obrad, które się toczyły z równą jak dawniej niesfornością.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu istnieje—jak wiadomo—komitet opieki nad domami pracy i domami zarobkowymi, pozostającymi pod protektoratem Najjaśniejszej Pani Aleksandry Teodorówny. Komitet ten rozwija co raz szerzej swą działalność w celu dostarczenia biedakom pracy i zarobku i w tym celu, albo sam zakłada domy zarobkowe, albo też pomaga do ich zakładania w rozmaitych miejscowościach Państwa przez udzielanie zasiłków. Typ domów zarobkowych jest odmienny od tych, jakie są utrzymywane u nas przez Towarzystwo przeciwzembracze, gdyż mają stałe warsztaty rzemieślnicze, w których pensjonarze odbywają naukę rzemiosł lub pracy ręcznej, podczas gdy celem naszych domów jest dostarczenie żebrakom i ludziom czasowo pozbawionym pracy, zajęcia i zarobku, który by im dał możność egzystencji, dopóki nie znajdą sobie jakiegobądź stałego zajęcia. Komitet petersburski rozpoczął wydawnictwo nowego miesięcznika p. t. „Trudowaja pomoszcz“ pod redakcją prof. Derużyńskiego, w którym poruszane są różne sprawy dobroczynności w ogóle i działalność domów pracy w szczególności.

— W celu oszczędzenia publiczności straty czasu i nieporozumień przy wysyłce pieniędzy za przekazami pieniężnymi, które wypłacane są tylko w miejscowościach, gdzie istnieją kasy skarbowe we wszystkich biurach pocztowych wywieszone będą wykazy stacyj skuteczniających wypłaty przekazowe.

— W Warszawie umarł profesor konserwatorium, ś p. Jerzy Skwarkowski, ur. 1852 r. w Białymstoku. Skończył Instytut muzyczny w Warszawie i tu objął wykłady gry fortepianowej i zasad muzyki. Ś. p. Skwarkowski zdobył sobie ogólny szacunek kolegów i uczniów.

W Łodzi z d. 15 b. m. zaczęło wychodzić nowe pismo codzienne, p. t. „Goniec Łódzki.“ Kierownikiem pisma jest znany literat i dziennikarz, p. Antoni Mieszkowski.

KARNECIKI.

Strofki karnawałowe.

IV.

Los się chyli

W jednej chwili

Na jedno „tour“ walcowe,

Ty tańczysz bez wytchnienia

A szala przeznaczenia

Rozsądza twoją głowę...

Więc baczność, panie,

To kołowanie

Prowadzi w bój otwarty,

Będiesz przyjęty

Lub odepchnięty—

Przez miłość lub przez żarty!

V.

Niech pan tylko takiej wierzy,

Która dobrze takty mierzy

Drobną nóżką

Poloneza i mazura,

I nie pytaj więcej „która?“

I nie badaj dalej

Tylko chwytaj za serduszek

Póki się w niem pali.

VI.

Nie wierz danserom nigdy w świecie,

Ich serce tańczy jak w karnecie

W wirowych ruchów piruecie

Coraz przy innej to kobiecie!

Mysł o nich tylko w karnawale,

Dobrzy są, póki trwają bale

Po za tem każdy ma swe „ale“,

Któremu przeczy wręcz zuchwale.

Nim chwycisz—cudnym jest motylem,

Gdyś ty złapana—krokodylem!

VII.

Jeśli masz duszę od skrupułów mętną,

A panna twoja ma uśmieszek błądy,

Pochwyć ją w polkę szaloną, namiętną,

Lub rzuć się z panną w otchłań galopady,

I wiruj w tłumie jak lekka monada,

Której argusa oko nie wysledzi,

Ani ten szereg sędziów co zasiada

Wzdłuż pod ścianami, sądząc „co wypada?“

Galopuj dalej, w końcu serca, głowy,

Pytaj, jakimi masz przemawiać słowy?

A jeśli ci się szczerze pali głowa

To znajdziesz słowa—

I jedno z drugim się nada!

S.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 11 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Pogawędka, przez ?? — Z nietłomaczonych poezyi Jerzego Byrona. Tak! Tyś szczęśliwa ..., przez Władysława Nawrockiego. — W zatoce śmierci. (Wspomnienie z tułactwa). (dokończenie). — Przegląd piśmienniczy, przez Szczęsną. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2 ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Karnećki. Strofy karnawałowe, przez S.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 11. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 19 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.